Nº 31.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Światu Nr. 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 21 Lipca. / 2 Sierpnia. 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycię kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, *w Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

FELICJAN FALEŃSKI.

Było to — nie pamiętam już kiedy, — zresztą data w tym razie jest mi zupełnie obojętną, — czytałem powiastkę noszącą tytuł „Zdaleka i Zbliska.“ — Zaledwie przebiegłem oczyma kilkanaście wierszy, ogarnęła mnie jakaś nieokreślona tęsknota, uczułem się w atmosferze pięknéj, wonnéj, poetycznéj, a przytem tak poruszająco rzewnéj, że wszystkie struny mego serca naraz grać poczęły pieśń współczucia, żalu i niepokoju.

Autor mistrzowskiemi istnie farbami odmalował w tym małym sielankowym obrazku — granicę pomiędzy marzeniem a rzeczywistością, nadzieją a pewnością, oczekiwaniem i spełnieniem. Stary żołnierz, po piętnastu latach tułaczéj wędrówki, wraca kaleką do rodzinnego ogniska. Tęskno biedakowi do téj przeszłości, którą tak długo pieścił w snach duszy, — o któréj rozmyślał w stronach dalekich. Chwila jeszcze, a wróci znów do niéj, zobaczy ukochaną serca, którą wybrał pomiędzy wielą, kiedy był jeszcze młodym i raźnym parobczakiem. Należy mu się przecie szczęścia choć odrobina, — jeśli Bóg na niebie nie jest głuchym na modlitwy ludzkie. — Toć pięć miesięcy tylko żył z żoną, — a potem lat piętnaście.... Miły Boże! — Ale ona tam czeka na niego i będą znów razem, jak przódy i znajdzie kaleka dach a przytułek, — nie będzie sam jeden sierota wśród zimnego świata....



Felicjan Faleński.

I rwie się serce przybysza, do téj wioski zielonéj, uśmiechniętéj, wesołéj, z kościołkiem omszonym i młynem szumiącym, którą spostrzega w dolinie. — A iść mu jakoś ciężko. Powietrze ciepłe takie i balsamiczne, — a jemu członki dreszczem się mrożą. Możeby poczekać jeszcze? — Taj nie ucieknie, co się ma stać.

Zatrzymuje się więc biedaczysko na wzgórzu i topi wzrok w krajobrazie wioski rodzinnéj. Powoli wlecze znów nogi stérane, ale im bliżéj do chaty, tem smutniéj i ciężéj na sercu.

I nie wrócić już człowiekowi do szczęścia, które raz porzucił. Do proboszcza przyszły papiery że zginął żołnierz na morzu, a żona płakała długo, — ażci poszła za innego, żeby nie zmarnować dobytku. — Teraz już matka dzieciom, a w chacie drugi panuje.

W spokojném siedlisku pracy, czarna rospostarła się rozpacz. Kobieta siedzi w kącie i płacze, tuląc małe dzieciątko do piersi. Przy niéj mąż, według praw ludzkich, ojciec rodziny, pan małego zakątka. U progu wędrowiec oparty na kiju, ogarniający błędnemi oczami ten straszny obraz rozbitych marzeń, zniweczonych nadziei, starganego całego życia. „Ona moja—woła spiekłemi usty—jam ją poślubił przed ołtarzem Boga i przez lat piętnaście modliłem się za nią i płakałem myśląc o niéj.“ — Ona moja, odpowiada drugi — i jam ją zaślubił „jest matką moich dzieci, a ty idź sobie włóczęgo, zkądeś przyszedł!“

Błagał nieborak litości, — a gdy go odepchnięto, rzucił się jak tygrys na człowieka co mu wydarł szczęście, jakby to on był temu winien a nie fatalność. I byłby go zdusił, jedyną, co mu pozostała, ręką — gdyby ich nie rozdzielili ludzie i nie zaprowadzili przed pana zastępcę. A reprezentant władzy gminnéj przypatrywał się bezmyślném okiem téj wielkiéj boleści dwóch ludzi i szydził z nich, że o jednę, starą, wrzawy aż tyle. Biedny kaleka zrozumiał wreszcie że jemu już nic do niéj. Ona go kochać nie może, bo się innemu oddała, więc po cóż mu dobijać się o prawa zapomniane?!

Poszedł zatem znowu w świat daléj z psem starym, co mu jedynie wiernym pozostał i darmo szukał wśród ludzi zapomnienia boleści swoich, — aż znalazł spokój na dnie przepaści, w górach.

W takich to szczupłych a misternych ramkach, zamknął poeta ogólne dzieje serca ludzkiego. — W tym biednym żołnierzu, wracającym do rodziny, odczuje siebie każdy, kto choć raz w życiu pragnął i tęsknił. — A jaka przytem prawda szczegółów, jaka prostota obrazowania! Z każdego wiersza łza zda się tryska, — a nigdzie ani śladu przesady, sztuczności i deklamacyi.

Od téj powiastki rozpoczynał zawód literacki poeta, z którego działalnością zapoznać właśnie bliżéj zamierzyliśmy naszych czytelników.

Felicjan Medard Faleński, urodził się w Warszawie dnia 8 Czerwca 1825 roku. — Po ukończeniu szkół przeznaczony został przez ojca do zawodu sądowego, ku któremu żadnego nie czuł powołania.—W 1844 roku zapisał się jako słuchacz kursów prawa na których pozostawał aż do 1846. — Wyrzekłszy się następnie wszelkich pretensyj do karyery urzędowéj, udał się na lat kilka w podróż za granicę, studiować ludzi i obyczaje.

Powróciwszy do kraju w 1849 roku — Faleński poświęcił się stanowczo literaturze. Kilkanaście drobnych jego poezyj ukazało się wówczas w szpaltach Bibloteki Warszawskiéj. — Gdy jednak redakcya tego pisma odrzuciła jego większych rozmiarów poemat p. t. „Termopile“ zniechęcony tém poeta, — rozpoczął zamieszczać swe prace w dodatku do „Czasu“ wychodzącym w Krakowie pod redakcyą Lucjana Siemieńskiego.

Tamto właśnie w 1851 roku pojawiła się prześliczna powiastka, „Zdaleka i Zbliska“, — któréj ogólną charakterystykę streściłem na początku tego szkicu. — Utwór ten zjednał odrazu Felicjanowi sła-

wę poety, — krytycy powitali go powszechnym chórem sympatyi i uznania, — a dawniejsi pracownicy na niwie poetycznéj, serdecznym zachęty oklaskiem.

Temu utworowi zawdzięcza również Felicjan przyjaźń Teofila Lenartowicza, który po przeczytaniu powiastki, napisał do autora list pełen braterskiego uczucia. — Odtąd obaj poeci, którym życie nie nastręczyło sposobności spotkania się kiedykolwiek z sobą, pozostają w ciągłych stosunkach duchowych, — zjednoczeni wyższym węzłem miłości dla sztuki, wspólnością myśli i celów.

W 1856 roku, Faleński (podpisujący wszystkie swoje utwory imieniem Felicjana), wydał zbiorek poezyj lirycznych p. t. „Kwiaty i Kolce." — Młody poeta pomieścił tu wszystkie swoje prace wierszowane,—tworzone w różnych epokach życia, częstokroć wadliwe formą, pisane pospiesznie, niewykończone. — Ten brak wyboru wywołał ze strony krytyki Warszawskiéj bardzo surową ocenę Kwiatów i Kolców, a Felicjan rospatrzywszy się lepiéj w swéj pracy, wycofał z handlu księgarskiego i zniszczył cały nakład, pomimo wielu najczystszéj wody klejnotów poetycznych, zawartych w tym zbiorze.

Począwszy od r. 1861, Felicjan stał się bardzo czynnym współpracownikiem pism peryodycznych tutejszych. Pisywał do Biblioteki Warszawskiéj, Przeglądu Europejskiego, Tygodnika Illustrowanego, Kłosów i Wędrowca, małokiedy podpisując swoje prace. Owocem tych kilku lat jego działalności były: *Studia nad dziełami Edgarda Poe,* poprzedzające szereg przekładów tego pisarza (Bibl. Warsz. 1861 r.) *Studia nad poezyą liryczną Jana Kochanowskiego* (Tyg. Illust.) i oddzielnie *nad Trenami* tegoż poety (Bibl. Warsz.) — Z powieści napisał: Nad źródłem i Widziadło szczęścia, (Tyg. Illustr.) oraz „Ponad morzem" (Bluszcz).

W ostatnich czasach liryczna muza Felicjana przebudziła się z długiego uśpienia. — W zbiorku wyszłym przed kilku miesiącami, zatytułowanym *„Odgłosy z gór"* — poeta śpiewa piękno tatrzańskich krajobrazów. Jednocześnie pojawiło się inne wydanie poetycznych utworów Felicjana p. t. *„Z nad mogił".* Do tych jednak poezyj, — stanowiących wybitny moment w rozwoju talentu Felicjana wrócimy jeszcze, kiedy wogóle o naturze i właściwościach tego talentu mówić nam przyjdzie.

(Dokończenie nastąpi).

OSTATNI TOAST.

Hej, wina do czaszy, bo czaszę pokruszę,
Potrzaskam kryształy w atomy;
Hej, wina! bo klnę się, przysięgam na duszę,
Że swymi spopielę was gromy.
Tak... pełno mi lejcie złociste nektary,
Po sam wierzch... nie szkodzi — nie szkodzi
Że napój perłami wylewa się z czary,
Niech ziemia się także odmłodzi.

Hej, tonów, muzyki — jak wichry, pioruny,
Jak łomot walących się światów;
Hej, grajcie mi — grajcie, choć pękną wam struny,
Choć braknie w melodji wam kwiatów —
Nie szkodzi — na gwiazdach połóżcie swe dłonie,
Potrąćcie o tęczy klawisze,
O stepu huragan, o morskich burz tonie —
Nie szkodzi — i to ja usłyszę!

Héj, ustek różanych, jak karmin, jak zorze,
Gorących jak iskra w ognisku;
Héj, ustek kochanych, niech do nich przyłożę
Swe usta w namiętnym uścisku.
Niech spalę je w popiół — nie szkodzi — nie szkodzi,
Popioły wysypię do czaszy,
Do wina, — z nich Feniks się może narodzi,
A Feniks ten piekła przestraszy.

A teraz mi dajcie, o dajcie mi lutnię,
Niech brzęknę, niech w akord uderzę;
Nie szkodzi — nie szkodzi — wesoło czy smutnie
Dość — że mnie do pieśni chęć bierze.
Więc bardon czy lirę — ha, dajcie co chcecie,
Lecz cisza niech stanie się głucha,
A zagram wam piosnkę roskoszną jak dziecię...
Zaczynam — kto łaskaw niech słucha:

*
* *

Młode orlę, bracie młody,
Gdy ci zbraknie sił do lotu,
Gdy twych lic zbledną jagody,
Od strasznego losów grzmotu —
Śmiéj się, śmiéj się, wznieś skroń w górę,
Wychyl czarę, nuć piosenkę,
Całuj, ściskaj twą dzieweńkę,
Całuj — a rosproszysz chmurę.

Z posrebrżonym starcze włosem,
Ty sokole, walny ptaku,
Co tam szepczesz drżącym głosem,
Co — z twych myśli ani znaku?!.
Śmiéj się, śmiéj się, wznieś skroń w górę,
Trąć o czarkę, zanuć śpiewkę,
Potém wspomnij czarnobrewkę,
Wspomnij — a rosproszysz chmurę.

Dziewczę, dziewczę, co to znaczy,
Że w twych oczkach łza się wije,
Że w twych ustach głos rospaczy,
Pod niebiosa skargą bije?..
Śmiéj się, śmiéj się, wznieś skroń w górę,
Śpiewaj, pij złocisty trunek,
Wino, piosnka, pocałunek, —
Rosprąszają smutku chmurę.

Franciszek Gumowski.

O SILE W CZŁOWIEKU.

Siła — Wyraz nasuwający wspomnienie o Bogu.

Czémże jest Bóg więcéj, jeśli nie *siłą?*

Zamiast powiedzieć: Bóg dobry, Bóg miłosierny, Bóg jasny, Bóg wielki, — zamiast powiedzieć: Bóg-Stworzyciel, Bóg-prawodawca, Bóg-mistrz, nie dośćże użyć jednego słowa: Bóg *silny?*

Chcieć i *módz* — dwa wyrazy jednoczące się na złożenie jednego pojęcia *Wszechmocności,* gdzież jak nie w Bogu tylko źródło słów swój mają?

Chcieć... aby *chęć* sama jako istota, byt, ciało, istniała w świecie, objawiała się w żyjących tworach i w sobie samym —

Módz.. moc, jaką się ma, objawiać także jako coś istotnego, żyjącego, mającego ciało i formę, — tworzyć jedném słowem.. ot *np.* świat taki, jak go widzimy —

Czémże to jest wszystko i czyjaż to własność?

Wy powiecie — Boga.

A ja powiem — *siły.*

Tak jest..

Wierzę w Boga —

Ale, gdybym i w Niego nie wierzył, nie pozwoliłbym się nazwać ateuszem —

Wierzę w *siłę.*

Lecz sąż jeszcze inne *siły* prócz Boga? — Czy Bóg jest z *sił* najpierwszą tylko, niewyłączającą jednakże wcale istnienia innych *sił* pomniejszych i drugorzędnych obok siebie, — czyli też On, On tylko sam stanowi *moc* jedyną, a wszystkie inne *moce* są tylko wytworem, odblaskiem, pozorem téjże... więc nie *siłami* a *słabościami* prędzéj — tak jest — *słabościami* tylko?

Wicher podnoszący góry piasku w pustyni — czém jest?

Piorun z chmur spadający i rozwalający skałę — czém jest także?

Głos grzmotu ogłuszający uszy nasze — iskra w drucie przebiegająca tysiące mil na sekundę — lawa buchająca z paszczy wulkanu — przewalanie się bałwanów po powierzchni morza— podnoszenie przez mrówkę źdźbła dużego na pół cala — gotowanie

się krwi w sercu, aż do pęknięcia tegoż — namiętność pragnień — spokój twarzy, gdy ciało i dusza na turturach — nareszcie.. myśl wielkiego człowieka, co waży i rozbiera, co bije wprost w nieskończoność i zwalona sto razy stamtąd na ziemię, stokroć się znowu wzbija tam i unosi.. Czemże jest to wszystko i czy *siłą* także?

Odpowiedź na to krótka i szeroka jak świat zarazem.

Mieści się w dwóch wyrazach, ale takich, że pomiędzy nimi możnaby umieścić wieczność:

tak i *nie*.

Tak — bo wszystko, cośmy wymienili, wzięte względnie do nas, do wyobrażeń naszych i do mocy naszéj, może moc tę naszę doganiać lub prześcigać, pobudzać ją daléj lub powstrzymywać, rodzić ją lub niszczyć, — więc dziwić oczy nasze i myśli nasze musi.

Więc będzie *siłą*.

Nie — bo wiedza nam mówi, iż dość jest usunąć jeden żywioł z organizmu wszechświat składającego, aby organizm ten cały stał się odrazu chaosem, rozluzował się i rospadł na drzazgi, przestał żyć i funkcyonować, *być* jednem słowem tém, czém jest w istocie dla naszego oka i dla wiedzy..

Więc wszystko to nie będzie *siłą*.

A Bóg teraz, a On, czy potrzebuje wiedzy téj naszéj do potwierdzenia siebie?

Czy gdy Go my nie uznamy, gdy Go w tworach Jego nie dopatrzymy, nie wyjawimy nad Nim podziwu swego, grozy, przestrachu lub zachwytu, — On zniknie przeto i byt swój zakończy?

Bynajmniéj — z Bogiem rzecz się ma nie tak.

Fantazya twórczości mogła Mu nakazać ulepić sobie robaczków jak ludzi, którzy u nóg jego zasiadłszy, że użyjemy poetycznego wyrażenia, potrafią odczuwać i rospoznawać to, co On w nich samych i dokoła nich potém umieścił po ziemi, rozlał i rosprzestrzenił, — fantazya mogła Mu pozwolić cieszyć się tym pomysłem swoim i radować się nim.. choćby przez wieczność! — lecz..

Bóg Bogiem dlatego tylko, że my Go tak nazwaliśmy?..

Siłą dlatego, że my Go takim znamy?..

jak wiatr ów, co wieje w naszém wyobrażeniu dopiero, gdy nam na głowie włosy poruszy, lub innym razem drzewo stuletnie złamie?

jak woda, która dla tego jest wodą, wilgocią, płynem, że członkom naszym wrażenie tego rodzaju sprawia?

jak ogień nareszcie który przeto tylko świeci, że oczom naszym tak go się przyjąć podoba?..

Nie.

Bóg jest sobą dlatego, że Nim jest naprawdę.

Tworzy — i oto wszystko.

Co stworzy, takiém będzie, jakiém je mieć chce.

Wartość Jego własna nie zależy od porównań, od wyobrażeń, od wiedzy niczyjéj.

Żadna inna siła nie pobudza Go ani nie wstrzymuje.

W sobie pomyśla wszystko i wykonywa.

A że to tylko jest prawdziwą siłą —

więc Bóg tylko jest nią —

jest — *siłą*.

Zresztą wszystko...

Lecz odwróćmy medal i patrzmy gdzieindziéj, bo nie Bóg i nie boska siła przedmiotem naszéj gawędy.

O ludziach mieliśmy mówić.

I pytamy się zatém:

Czém jest ludzka, czyli w ludziach, siła?

Silny człowiek — szafujemy tym frazesem, jak przyrzeczeniami wiecznéj miłości.

Przy lada objawie uporu, stanowczości ze strony czyjéjś, determinacyi, — mówimy zaraz: silny charakter! — jaka silna wola! — co za silne serce! — silny człowiek!

I ma to u nas tak realne znaczenie, jak gdybyśmy mówili: oko patrzy — słyszą uszy — dotykają ręce lub coś podobnego.

I cieszymy się, żeśmy imię znaleźli stosowne do nazwania tego, co nas w danéj chwili że strony czyjéjkolwiek dziwi lub zachwyca, przestrasza lub grozą przejmuje.

I radzi sobie jesteśmy.

Filologija się aż śmieje do saméj siebie.

Poezya zaciera ręce.

Historya powszechna i *biografija* podnoszą z tryumfem głowy.

Autor *katechizmu dla uczącéj się młodzieży* skacze prawie z zadowolenia.

Każda ziemska wielkość rośnie jak na szczudłach pod niebo.

Niebo się aż w głąb usuwa.. bo:

cnota pod niém wola o kanonizacyą, —
co było dumą — staje się pychą, —
co drzemało w cieniu, wyłazi na widownię, —
co skromnie szeptało — krzyczy, —
co się dęło i pyszniło — pęka..

Wielcy ludzie — wielkie tłumy — wielkie narody, wychodzą jak z pod ziemi na dzień biały — świat sobie zapalił kadzidła — ziemia wystała po nad własny orbit — człowiek z dołu sięgnął po bóstwa koronę..

Aż gwiazdy ustąpiły przed butą jego.. a Bóg i moc Jego znikły jak — pył.

Takie dziwy się dzieją na powzięcie przez człowieka jednéj lichéj wiary w *siłę* własną; na wymówienie przezeń paru lichych frazesów: mam *wolę*.— jestem *silny*!

A tymczasém ów człowiek, ów wielki — któż to?

Na pytanie takie *Nauki przyrodzone* zaczynają dopiero szturmować całym zastępem swoim do myśli naszéj.

Pomarszczone od pracy czoło Darwina, zjawia się jak mara przed słońcem *teologii* i *psychologii*.

Parę kartek rozwinięto z dzieł jego niegrubych:

I oto..

człowiek — małpą;
gorzéj niż małpą — psem;
gorzéj niż psem jeszcze—płazem;
gorzéj jeszcze od tego — ziarnkiem piasku;
i od tego jeszcze gorzéj — atomem w ciemności.

— Jakto? — więc nie ma człowieka?

— Ale gdzież tam!.. Jest!.. bo przecie żyje; rusza się; krzyczy; rodzi siebie nawzajem i wzajem zabija; powiada że mądrym jest; dąży do *progressu*..

Jest.. bo przecie i ten sam Darwin — człowiek.

Jest.. Tak.. ale tylko:

brak mu *woli* właśnie owéj — brak mu *siły*.

Filozofja sceptyków powiada mu: tyś *nic*.

Filozofja racyonalistów powiada: tyś *coś*.

Inne filozofje mówią jedno i drugie.

A *prawda* na to wszystko?

No — téj nauki nie ukończono jeszcze!

Więc jednem słowem człowiek ma i nie ma *siły*? ma i nie ma *wolnéj woli*? jest i nie jest sobą? może być naprawdę zarówno *czémś* jak *niczém*.. jak wszystko inne, co istnieje niby pod słońcem.. jak ten świat cały?

— Tak.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRASSA PERYODYCZNA.

(Dalszy ciąg).

Przykro nam że pochwaliwszy ogólną redakcyę „Bluszczu" musimy jednak zakończyć tę panegiryczną część naszego sprawozdania uwagą, że od niejakiegoś czasu, w ostatnim zwłaszcza kwartale, w szpaltach tego pisma pojawiło się jakieś zaniedbanie — a nawet, rzecby można, prześwieca w nich jakby zmiana pierwotnego programu. Zamiast bowiem artykułów dotyczących wychowania lub stanowiska kobiet w społeczeństwie, zamiast pełnych ducha poezyj, zamiast tak pożytecznéj rubryki jaką była „Apteczka domowa" lub może inaczéj zatytułowane, gdyż nie pomnimy dobrze, artykuły pisane tam przez D-ra Pląskowskiego, w których sanitarne znaczenie wszelkich ziół krajowych i zastosowanie ich do leczenia domowego, wyjaśnianém było w sposób prosty i praktyczny — zamiast wielu innych jeszcze artykułów, niezaprzeczonéj wartości, odpowiadających założeniu takiego jak „Bluszcz", jawnie „*Dla kobiet*" przeznaczonego organu, spotykamy tam obecnie, jakieś wojenne sprawozdania, plany kampanii, lub dzieje Paryża, podczas oblężenia. Pojmujemy takie na korzyść wojowniczych usposobień chwili ustępstwa w pismach politycznych lub mających choćby tylko jedne odnoszącą się do polityki rubrykę — wszędzie nakoniec — byle nie w organie przeznaczonym dla kobiet, które zresztą, o ile by ciekawe były takiéj militarnéj lektury, mogą nasycić się nią we wszystkich innych pismach, tak hojnie przez czas jakiś zaopatrujących czytelników warszawskich w epizody i urywki z dziejów franko-niemieckiéj Bellony. Znaleźliśmy wprawdzie i w nowszych numerach Bluszczu, artykuł quasi pedagogiczny a raczéj tylko fragment z dzie-

ła Riecke'go p. t. „Peryody Epoki Edukacyjnéj“ lecz nie znajdujemy go ani zajmującym ani pożytecznym, albowiem rzecz traktowana w nim ciężko i gubiąca się w teoretyzmie jałowym. Za to dział poświęcony modom, redakcya coraz bardziéj posila i traktuje tak, iż na tym punkcie zwycięzko walczy nawet z specyalnym organem, Tygodnikiem Mód, p. Gregorowicza. Wprawdzie, dział ten bynajmniéj do literatury nie należy, lecz w piśmie poświęconém „dla kobiet“ bardzo ważne zajmuje stanowisko.—To też młode i niemłode, urocze i... nieurocze lektorki Bluszczu, z wielką ciekawością przeglądają dołączane tam tablice z rycinami mód lub rysunkami przeróżnych i ciągle zmieniających się stroików—a spotkawszy co tydzień nowe jakieś fasony kapeluszy czy kaftaników, łamią sobie głowy a panom szyki budżetowe, dumając, jakimby sposobem, do każdego numeru Bluszczu, można było dostać i egzemplarze jego rycin—w naturze... Trzeba też przyznać że ten dział, poświęcony modzie, traktowany jest w Bluszczu nie tylko *con amore*, lecz nader energicznie i butnie, rzecby można, z odsadą szynjona nawet! Widocznie redaktorka tego działu czuje ważność swéj missyi i wie o władzy jaką nad modnemi czytelniczkami swojemi sprawuje!

Z kolei, wypada nam mówić o Tygodniku Mód, lecz doprawdy jesteśmy w niemałym kłopocie, co o tém piśmie, jako o piśmie powiedziećby można? Oto, chyba rzec czystą prawdę, że „Tygodnik Mód“ wcale za organ literacki uważanym być nie powinien, że jest to przedsiębierstwo czysto specyalne, które dając rysunki mód i powieści przeważnie tłumaczone choć i oryginalne, nie potrzebuje żadnéj nad sobą redakcyi—zadawalniając się staranną administracyą tylko. Gdyby nie część poświęcona modzie, to Tygodnik téj kapryśnéj bogini byłby tylko sobowtórem Tygodnika Romansów i Powieści, fraternizując z nim nawet w lichym często wyborze a w lichszém jeszcze tłumaczeniu tych przeróżnych bajeczek, któremi obecnie zalaną jest cała, tak zwana, literatura warszawska a którym i my także, niestety, acz poślednie, musimy zostawiać miejsce! Dawniéj, za dobrych (dla Tygodnika mód i jego abonentów) czasów, pismo to, przerodziwszy się świeżo z poczwarki „Magazynu“ w motyla pretendującego do nadpowietrznych polotów—poczęło było umieszczać rozmaite artykuły, w stałych nawet rubrykach i choć nigdy silną redakcyą ani doborem piór współpracowniczych nie grzeszyło, przecież podobne było do organu prassy peryodycznéj—dziś, żadnéj z cech nadających prawo do takiego tytułu, przyznać mu nie możemy. Nie przeszkadza nam to jednakże pochwalić p. Elizy Orzeszko za zasilenie Tygodnika dobrze pomyślaną, choć zapobieżnie nieco, jak dotąd, obrobioną powieścią p. t. Pamiętnik Wacławy.

Co się stało z Gazetą Polską? Organ ten, tak niedawno jeszcze prowadzony pilnie, tak skrzętnie i w tylu rozmaitych rubrykach notujący wszelkie objawy życia umysłowego, słowem pełen działalności pożytecznéj i żywotności — a nie obcy nawet gruntowniejszym, na drodze badań naukowych, popularnie wykładanym przedmiotom — widocznie z sił opada, i to tak postępowo, tak spiesznie, że niedługo nic w nim już, prócz części politycznéj i powieści w odcinku, nie zostanie. Taka rażąca metamorfoza w rzeczonéj gazecie tem dziwniejszą wydawać się nam musi, że, o ile wiemy, kierownictwo jéj nie zostało zmienione, ani też na cyfrze abonentów żadnéj przecie nie poniosła straty. Boć trudno nam poczytywać za objaw żywotności pisma „poważnego“ i za dział jego zajęcia się umysłowemi lub artystycznemi kwestyami, polemik często niesłusznych, lub zgryźliwych wystąpień byłych uczniów przeciwko dawnym nauczycielom swoim. W każdym razie, obecny stan ospałości Gazety Polskiéj, nie tylko nas zdumiewa lecz i szczerze zasmuca nawet. Taki organ, z wyrobionem już kołem czytelników, z przeszłością pracowitą i chlubną — powinien przecież czuć się w obowiązku odpowiedzieć, nie tylko wymaganiom abonentów lecz i stanowisku jakie w piśmiennictwie zajmuje—jeżeli go rychło z własnéj winy utracić nie chce.

Możebyśmy z mniejszym patrzyli żalem, na taką radykalną w redagowaniu Gazety Polskiéj odmianę, gdyby ona, przez swoję dotychczasową różnobarwność rubryk, nie była dla nas poczęści przynajmniéj, przedstawicielką téj żywotności, któréj się przedewszystkiem od literatury i jéj organów domagamy — Była ona istotnie przeciwstawnią, antypodą drugiéj, także poważnéj gazety, „Warszawskiéj“ która oddawna już spoczawszy, na niegdyś zdobytych laurach i przybrawszy się w jakąś indyferencyę — pozuje, na takie naprzykład *Debaty* paryzkie (Jour. des Debats) i bynajmniéj na ruch umysłowy, na jakiéjbądź skierowany drodze, nie zważa — a nawet, wyrzekłszy się, niegdyś tak popularnie w niéj pisanych gawęd naukowych, krytyki literackiéj i wszelkiego zgoła na artystyczny świat poglądu — jednemu już tylko teatrowi, i to w rzadkich momentach, za organ krytyczny służy. Czyliżby i Gazeta Polska, znęcona takim przykładem, chcąc użyć wywczasu w obojętności na wszystko co się po za obrębem..... prenumeraty dzieje — zapragnęła tąż samą postępować drogą? Dawniéj np. spotykaliśmy i dość często nawet a przynajmniéj peryodycznie dawane w odcinku téj gazety artykuły pióra p. Niewiadomskiego, kompilowane z najnowszych dzieł naukowych, o żywotnéj tendencyi; artykuły te, pisane z wielką jasnością i doskonale określające wartość i treść danego dzieła—dziś zastąpione zostały innymi — tak przynajmniéj sądzić wypada z odmiennego sposobu traktowania rzeczy i z pióra widocznie niższéj wartości. — A przecież, takie duże, większego rozmiaru i ustalonéj już wziętości gazety, powinnyby właśnie, nie tylko budzić umysłowe życie do koła, lecz służyć za naturalny organ, pośredniczący pomiędzy ogółem publiczności a wszystkimi objawami ducha, przeważnie zaś na umysłowéj, więc i artystycznéj drodze. Jest to ich obowiązkiem być eklererami téj całéj massy postępu, który się zwolna tylko, w kolumnach literatury i w szeregach sztuki, naprzód, po twardéj drodze posuwa. Nie można poczytywać się za organ opinji publicznéj, bez wypełniania należnych względem niéj obowiązków — i trzeba-ż coś przecie, choćby kawałek miejsca i kilka „stalek“ od czasu do czasu, ofiarować temu idealnemu niby, a istnie jedynemu, w prawdzie wyższéj, światu, bez którego, pomimo nawet wybornéj kuchni, wykwintnéj piwnicy i snu na edredonach — życie wyda się wreszcie tak smutném, jak step jałowy, na którym nic nie rośnie i po nad którym żaden ptak nie przeleci.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OBRAZY DAGESTANU

przez

R. Klonowskiego.

(Dalszy ciąg).

W zimie mężczyzni zgoła nic a nic nie robią, kobiéty zaś zawsze znajdują sobie jakiekolwiek zatrudnienie. Równo ze świtem, wziąwszy siekierę i powróz, kobieta pędzi eszaka do lasu po drwa, i ku wieczorowi wraca do domu z naładowanym drwami osłem i większym na własnym grzbiecie ciężarem. Niektóre przedają przyniesione drwa bogatszym mieszkańcom za sach (16) mąki. Inne znów, korzystając z ciepłego dnia, piorą bieliznę, lub oszywają swoję rodzinę; pod stare obuwie podkładają podeszwy z surowéj, niewyrobionéj skóry, wymienionéj też za drwa, albo którą dostały zamiast płacy za robotę. Skubią kawałki starego wojłoku, myją i czochrają tę na pół zgniłą pilść i przerabiają ją znowu na wojłok; tkają i folują nogami sukno, kręcą jedwab, albo robią nowe wojłoki, z których szyją zimowe buty i t. d.—słowem, trudno zobaczyć kobietę siedzącą bez roboty. Pracowite zatém są dagestanki i do tego wcale ładne; szkoda tylko że tak mało dbają o czystość i ochędóstwo koło siebie i w swoich domostwach. Najzamożniejsze nawet gospodynie nigdy nie najmują robotnicy, i jeżeli roboty domowe wykonywają się czasem przez obce kobiety, to nie są to robotnice najęte, a ochotnice z musu. W domu biéda, niéma co jeść, mąż leniwy, albo frant, nie uprawia jakby należało ziemi,—zresztą, ziemi jest mało a dzieci kupa; sadakchi (17) prosić wstyd i mało z tego korzyści; litość bowiem, ludzkość i miłość bliźniego, zalecone przez koran, zostają martwą na kartach jego literą, istniejąc tylko w ustach górali, w czyn zaś nigdy nie są wprowadzane. Zresztą, jałmużna, składająca się z łyżki mąki, albo z półgarści ziarna, która chociaż na mocy adatu rzadko się odmawia, nie wystarcza na nasycenie próżnych żałądków całéj rodziny. Matki więc tych rodzin, dowiedziawszy się gdzie jest robota, same się na nią zapraszają. Samo przez się rozumie się, że gospodyni z początku odmawia, i tylko po długich usilnych prośbach, jakby przez litość, zgadza się ją dać, ciesząc się w duszy, że za robotę nie trzeba będzie płacić; a chyba jaki sach mąki i parę główek czosnaku wyjdzie na obiad i wieczerzę dla robotnicy.

(16) Garniec.
(17) Jałmużna.

Robotnik albo robotnica, w czasie pokosów i żniwa otrzymują zwykle 15 do 20 kop. na dzień, ze stołem. Za lżejsze roboty płaci się 10 i 5 kopiejek, albo zamiast pieniędzy dają garniec mąki. Zdarza się, że robotnicy poprzestają na obiedzie i wieczerzy z kawałkiem kurdiuka ([18]), suszonéj baraniny, jajecznicy i t. p. Z tego traktamentu, za całodzienną pracę, przynajmniéj pozornie, robotnik i robotnica zupełnie są zadowoleni, tak, że podziękowaniom i błogosławieństwom końca nie ma. Poczęstowani kawałkiem burdiuka, albo jajecznicy z gorącym czurekiem ([19]) z pszenicy, czego też nie naprawią dobrym gospodarzom!.. żeby u gospodarza Czakar([20]) zawsze była zdrowa, a u Czakary Mahmud długo żył; żeby Czakar porodziła Mahmudowi syna Mahmuda i t. d. Nakoniec wesoła robotnica podsiadłszy do gospodyni i trąciwszy ją pod bok łokciem, szepce jéj coś na ucho, mrugając na męża: musi to być coś bardzo śmiesznego, bo żona zachodzi się od śmiéchu. Mąż podjął zapewne o co rzecz idzie; rzuca okiem na szepcące kobiéty i uśmiechając się nazywa je bolchonał'ami (świnmi). Ulubiony ten epitet górali bynajmniéj nie obraża kobiet. Wszystko zależy od zwyczaju. My, nasze kobiety przyrównywamy do pereł, kwiatów i t. d., na wschodzie do zwierząt, które przecież w hierarchii przyrodzonéj wyżéj stoją od roślin i muszli.

Chytrość i obłuda są w ogóle dominującemi mieszkańców wschodu cechami. Tak samo i tu; zdaje się że gospodarze i robotnice zupełnie są z siebie zadowoleni; ale proszę posłuchać rozmowy ostatniéj z najbliższą sąsiadką. Dobre życzenia i błogosławieństwa, które przed chwilą tak szczodrze przyzywały się na głowę Mahmuda i Czakary, zmieniają się w straszne przekleństwa, z przyczyny tegoż samego obiadu i wieczerzy, za które tak niedawno jeszcze najserdeczniejsze składano im dzięki.

Niektóre roboty, jako to: nawożenie pól, łuszczenie i młócba kukurydzy, strzyżenie owiec, mycie i roszczesywanie wełny, mazanie gliną sakli, narzucanie na dachy ich ziemi i t. p., wykonywają się przez krewnych, sąsiadów, albo znajomych, których właściciele proszą im pomódz. W takich razach przyjęcie bywa lepsze, z gorzałką, buzą i czobą, a niekiedy i z herbatą kałmycką ([21]).

Roboty które wchodzą w skład zajęć męskich, są następne: na początku wiosny mężczyzni wynoszą ze stajen mierzwę i składają ją w wielkie kupy na ulicach. W Kwietniu wywożą ją, (w niektórych miejscowościach kobiety wynoszą), w pole, rozsypują na małe kupki i po kilku dniach rozrzucają po polu. (Rozrzucanie mierzwy należy wyłącznie do kobiet). Następnie rzucają ziarno na niezorane pole a potém już je zaorują. I w téj pracy niemały udział przyjmują kobiety. Ponieważ bron nie ma, kobiety, idąc za sochą, rozbijają kawały ziemi rękojeścią siekiery albo motyką. Nim nastanie sianożęcie, góral spokojnie przewala się z boku na bok a podczas sianożęcia kosi trawę. Trawy zaś rosnące w miejscach, których kosą dostać nie można, (a takich miejsc dosyć jest w Dagestanie), albo rzną, albo rękami wyrywają kobiety, a mężczyzni próżnują aż do żniw, w których nie mogą przyjmować udziału, gdyż według adatu, mężczyzna biorący się nie za swoję rzecz, zasługuje na wzgardę; żniwa zaś wyłącznie należą do robót żeńskich.

Sady owocowe, stanowiące główny przedmiot bogactwa górali, uprawiają mężczyzni, lecz i tu widać wrodzone ich lenistwo. Przyroda tak szczodrze udarowała niektóre okolice Dagestanu, że przy niewielkiéj koło drzew fruktowych staranności i pracy, co tém łatwiéj dla górali, że się wcale dobrze na ogrodnictwie znają, liczba drzew, jako też i lóz winogradowych, bezwątpienia zwiększyłaby się w krótkim czasie o dziesięć razy, a gatunki owoców mogłyby równie być dobre, jak w sadach Gruzyi; lecz i po miurydyzmie postępu w ogrodnictwie nie widać.

A piękną jest w niektórych miejscach, w maju szczególnie, przyroda dagestańska. Miliony róż czerwieni piętrzące się skały, roznosząc swą aromatyczną woń dokoła. Śpiew słowików nie ustaje całą noc w zielonéj gąszczy gajów. Drzewa migdałowe srébrzą się od kwiatu, a wysokie malwy włoskie strzelają z pośród liści do góry, jak wieżyce minaretów, swemi strojnemi łodygami. Tu i owdzie szerokie, rozłożyste dęby ścielą daleko w około swoje zielone, krzepkie gałęzie, a topole i czynary ([22]) składają oddzielne gromady śród rozmaitych krzewów. Wesołe stada baranów, bawoły wylegające się w błocie przy fontannach, albo całemi godzinami poważnie się bodzące rogami, tu i ówdzie kształtne konie z rospuszczoną na wiatr grzywą biegające po wzgórzach — oto ramy obrazu, który wieś muzułmańska przedstawia. Szkoda tylko, że tak mało jest harmonii i zgodności między tą śliczną przyrodą i jéj mieszkańcami.

Mężczyzna patrzy w Dagestanie na kobietę niemal jak na robocze bydlę, przy wyborze żony mając przedewszystkiém na celu, żeby dziewczyna albo kobieta była zdrowa, silnie zbudowana i głównie nie leniwa do pracy; przyszła bowiem żona będzie musiała robić wszystko w domu, w polu i w ogrodach. Na prowadzenie się kobiety, przywiązanie jéj do męża, rozwinięcie władz umysłowych i drugie przymioty, mężczyzni nie zwracają uwagi. O wierność małżeńską żony góral się nie troszczy, pokładając ufność w swoim kindżale, sam widok którego jest w stanie utrzymać ją w należytém posłuszeństwie i powstrzymać od podejrzanego prowadzenia się. A gdy prócz tego adat, dżamaat ([23]) i krewni obu stron, bystrém okiem śledzą za prowadzeniem się kobiet, mężowie mogą być w tym względzie zupełnie spokojnymi.

Mąż ma nieograniczoną władzę nad swoją rodziną. On, jako głowa jéj, jest także jéj zwierzchnikiem, panem, sędzią, obrońcą, oskarżycielem, a czasem i katem. Nadanéj mu przez adat władzy, mąż nieraz na nieszczęście na złe używa, tak, że despotyzm jego domowy przechodzi czasem wszelkie granice. Rozgniewany na żonę, często bez żadnéj przyczyny, albo za jakąś bagatelę, bije ją do omdlenia, i w paroksyzmie dzikiego szału rąbie kindżałem, albo strzela do niéj z pistoletu; i jeżeli biedna nie zdoła ujść od zadawanych jéj razów, częstokroć pada ofiarą niepohamowanéj złości męża. Góral który zabił żonę, rzadko bywa prześladowany przez mścicieli za krew. Żeby uniknąć krwawéj zemsty, zabójca obwinia publicznie żonę o niewierność, a w obec takiego obwinienia nie ma usprawiedliwienia. Krewni zniesławionéj kobiety nie mają prawa mścić się za krew ofiary.

Nigdy góral nie osłabi swojéj despotycznéj władzy nad żoną, zwłaszcza jeżeli ma powód być z niéj niezadowolonym. Kiedy nawet mąż kocha żonę, zawsze gra ona rolę sługi, która swojém przywiązaniem i dobrém prowadzeniem się zyskała względy pana. Jeżeli zaś żonie z jakichbądź powodów nie uda się zasłużyć na przywiązanie męża, wówczas ostatni obchodzi się z nią daleko gorzéj niż z niewolnicą; tak, że położenie żony nielubionéj przez męża, jest okropne. Wieczne łachmany ją okrywają, lekceważenie, ciągłe połajanki i bolesne rasy, niedostatek i bez tego już nędznego pokarmu, ciężka dzienna praca, z ujmą krótkich chwil odpoczynku — wycieńcza nieszczęsną i zmusza przedczasem postarzeć. Dobrze jeszcze, jeżeli żona ma krewnych, którzy mogą wymódz na tyranie żeby się z nią rozwiódł, (tylko w takim razie żona traci swój kałym([24]); a jeżeli nie ma komu za nią się ująć, wówczas nic więcéj jéj nie pozostaje, jak poddać się srogiemu losowi; a mąż, tak dla swoich osobitych widoków, jak i dla tego, żeby jeszcze bardziéj udręczyć nienawistną sobie żonę, żeni się z drugą, i jeżeli, na większe dla piérwszéj nieszczęście, druga porodzi syna, którego piérwszéj żonie Bóg nie dał, wówczas piérwsza staje się sługą drugiéj, a wtedy już nie ma końca ani granic szyderstwu i najgrawaniom się szczęśliwéj rywalki.

W każdym razie jednak, czy mąż zadowolony z żony, lub nie, zawsze ta gra rolę sługi, zgadzającéj się we wszystkiém z wolą pana. Najdrobniejsze zajęcia gospodarskie i domowe wykonywają się li tylko za zgodą męża. Obiad nie stanowi u górali jak u nas, głównego posiłku, a przeciwnie, wieczerza. Kawałek czerstwego kureka, pozostałe od wieczerzy chinkały z cébulą, albo kawał séra, zwykle składają posiłek dzienny górala; na wieczerzę zaś stara się on zawsze mieć coś lepszego. W niektóre dni, (u zamożnych co czwartek, a u biednych jak się zdarzy), górale pozwalają sobie ugotować na wieczerzę kawałek mięsa kurdzieska. Żona zawiesza kocioł nad ogniem, a mąż siedząc przy kominie, pokazuje jéj wiszący na ćwieku kawałek mięsa kurdzieska, albo kiełbasy. Żona podaje mu go natychmiast, mąż zaś potrzymawszy mięso nad ogniem, opuszcza je z modlitwą do kotła, przeliczywszy wprzód kawałki. Kiedy męża nie ma w domu, żona, chociażby przyjechał gość najmilszy, nie śmie częstować go mięsem. Czasem bywa, że mąż przed odjazdem w drogę udziela żonie pozwolenia zarządzać spiżarniami zapasowemi.

Zdarza się zresztą, ale bardzo rzadko, że mężowie tańczą według dutki swoich żon, co bywa niemal zawsze wówczas, kiedy bogata panna oddaje rękę Alimiczowi. ([25]) Wtedy wszystkie

([18]) Tłustość barania u ogona.
([19]) Rodzaj piéroga.
([20]) Imię kobiety.
([21]) Najprostszy gatunek herbaty, pokrajanéj w tabliczki, którą gotują z kawałkiem tłustości baranięj.
([22]) Rodzaj jaworu (Platanus orientalis).
([23]) Towarzystwo.
([24]) Posag.
([25]) Człowiek biedny, bez familii, nieczystego pochodzenia góralskiego, ale znający dobrze język arabski.

postępki tyrańskie, które znoszą kobiety, dostają się w udziale przyjętemu do domu mężowi, i nie tylko od żony, lecz i od teści i reszty familii; nawet od dalekich krewnych pierwszéj. Wogóle byt familijny górali daleki jest od tego, żeby go można było nazwać szczęśliwym. Biedota, nędzna strawa, brak sympatyi, zaufania, otwartości, i częste okazye zaciętéj między małżeństwem nienawiści, na każdym prawie kroku zauważyć można.

W klasie wyższéj, więcéj wprawdzie jest względów dla płci żeńskiéj, lecz i tam mąż zawsze jest panem. Miałem zręczność poznać w Temir-Chan-Szurze Szamchała Tarkowskiego, należącego do jednéj z najdawniejszych tatarskich rodzin książęcych i jego żonę, córkę byłego Chana Mechtulińskiego. Nie szkodzi wspomnieć o téj rodzinie. Szamchał, człowiek średnich lat, generał świty, wychowany w Tyflisie, mówi dobrze po rossyjsku, a dom swój urządził zupełnie na sposób europejski. Żona jego, młoda kobieta, nie znając innego prócz rodowitego języka, na krótkich tylko rannych wizytach musi ograniczać swoje z szuryńskiemi domami znajomości. Razem z drugimi byłem proszony przez niego podczas świąt bajramu ([26]) na obiad. Zdziwiły mię poczęści stoły zastawione różnemi mięsiwami, ciastami i winami, zupełnie jak nasze święcone. Były nawet jaja na twardo gotowane. Zwyczaj ten, jak mnie objaśniano, datuje się tam oddawna. Księżna Tarkowska, siedząc na sofie, z otkrytą twarzą, w białych rękawiczkach, w bogatym tatarskim ubiorze, przyjmowała powinszowania, za które przez tłumaczącego jéj męża, każdemu z osobna dziękowała.

Po obiedzie, domowe kobiety, w liczbie których i córka Szamchała z drugiéj żony (dżanka), śpiewały pieśni narodowe i tańczyły lezginkę. Nie bez pewnego wdzięku jest ten taniec. Dziewczyna wychodzi na środek pokoju, lewą rękę trzymając przy twarzy, jakby ją zakryć chciała; z drugiéj strony wysuwa się w podskokach kawaler, z podobnie wzniesioną do góry ręką. Taniec zależy na na ciągłém zbliżaniu się do tancerki, która stara się nie zejść z mężczyzną i stroni od niego. Od dziewczyny zależy zaprzestać tańczyć i wrócić na miejsce; poczém występuje druga, i t. d. Suknie kobiet były jedwabne albo wełniane, najwięcéj żółte i czerwone, lamowane złotymi galonami. Niezbędne welony spadały im z głowy, na plecy, nie zakrywając jednak twarzy. Żony Szamchała przy obiedzie nie było; a to — że w obec męża siedziała, przypisać należy zastosowaniu się do zwyczajów europejskich; bo jak nikogo z chrześcian nie ma a mąż wejdzie do jéj pokoju, to tak ona jak i reszta kobiet zwykle przed nim wstaje.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

([26]) Święto odpowiadające naszéj wielkanocy, bo następuje po ścisłym poście — ramazanie w grudniu. Od bajramu zaczyna się nowy rok u muzułmanów.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(Dalszy ciąg).

Pewnego poranku, właśnie gdy breftryger przyniósł pakiet listów, które niezmiernie zachmurzyły twarz ojca, — rzekła do pani Mush: — Wiem dla czego mój stryj Edward nie przybywa — pilnuje Smitha.

— Pilnuje Smitha! zawołała pani Mush, dziwnym głosem; — ależ twój stryj przyjeżdża dziś wieczorem.

Sybilla spojrzała z niedowierzaniem.

— Nie wierzę temu, — powiedziała — zresztą, znudziło mi się już zapowiadać Denizie żeby jego łóżko rozbierała.

— Moje kochanie, trzeba żeby je Deniza jeszcze raz rozebrała. Pan Kennedy wyznacza mu zielony pokój, chociaż mój byłby dla niego daleko lepszy. Ach, zapomniałam ci powiedzieć, że ja dziś odjeżdżam. Pani Steele mnie wzywa.

— Odjeżdżasz pani! i pani Steelle cię wzywa! zawołała zdziwiona Sybilla; a któż jest pani Steelle?

Wspominałam ci o niéj czasem. Teraz zapewne chcesz tylko wiedzieć do czego ona podobna? Pani Steelle podobna do swego domu, dom do niéj. Jest obszerny, dobrze wyglądający, a wszystko w nim mocne, dokładne i dobre. Jéj zegary idą tak dobrze jak słońce; a nawet pani Steelle myśli, choć nie powiada tego, że idą lepiéj. Jest to także rozumna i pełna logiki kobieta. Kiedy ostatnią razą do niéj przyjechałam, zastałam ją łającą Sarę, pannę służącą, za nierozsądne kokietowanie lokaja. „Bo wyprowadźmy z tego następstwa, jako rozumne istoty“ mówiła. Cudownie ją było słuchać.

— I po cóż ona panią wzywa?

— Powiem ci poufnie, moja droga, że pani Steelle chce mnie wypróbować. Pani Steelle wypróbowała wszystkie swoje znajomości i ani jedna nie chce u niéj pozostawać. Ma wprawdzie córkę, ale komuż by na myśl przyszło wyprobować Adelinę Steele? Jest to czarująca, młoda osoba! Jest tak dobroczynna, że należy do Towarzystwa Spódnic Flanelowych, a tak skromna, że nie chce wymawiać wyrazu „spódnica.“ W obejściu ma gładkość marmuru i temperaturę lodu. Profil ma grecki, jakiego równego nie spotkasz w muzeum Watykańskiém. Słowem, jest tak piękną, że tylko siedzieć i spoglądać na nią z boku!

Łzy zabłysły w oczach Sybilli.

— I tak, — powiedziała—zostawiasz mnie pani tu samą, z moim ojcem i nowym stryjem, dla ludzi, z których się wyśmiewasz sama.

— O dziecko, nie gań mnie — zawołała pani Mush, zupełnie innym tonem, z pewną goryczą w mowie i spojrzeniu, — ojciec twój zaprosił mnie i dał do zrozumienia, że to ma być wizyta nie licząca się na dnie, ani na miesiące, ale na lata całe, a teraz żąda żebym odjechała i odjeżdżam... Przeszkadzałam tylko i dla tego muszę ruszać w świat, rozpocząć znowu dawne wędrowne życie.

Sybilla się zaczerwieniła z gniewu.

— Czy to z powodu mego stryja musisz się pani oddalić?

Pani Mush milczała.

— Będę go więc nienawidzieć! — zowołała Sybilla, z uniesieniem.

— Nie rób tego, moja droga. Twój stryj nie zasługuje na żaden wyrzut, a postępowanie pana Kennedy tłumaczy się okolicznościami, nad któremi nie mógł panować. I ja jestem ofiarą, tak, jak nią zawsze są ubodzy — dodała w filozoficznym tonie; a teraz trzeba się zabrać do pakowania.

— Czy mogę pani pomódz? zapytała smutnie Sybilla.

— Nie, moja droga, dziękuję ci. Idź lepiéj zobacz czy pokój twego stryja dobrze jest przewietrzony.

— Jóż go przewietrzono przed dwoma tygodniami — rzekła Sibilla z goryczą—i odeszła, nie aby obejrzyć pokój stryja, ale aby się przejść po ogrodzie.

Minąwszy kompas, weszła na schody i zapuściła się w dzikie zarośla, których p. Kennedy, wiedziony dobrym smakiem, nie przerabiał na ogród regularny. Poranek był piękny. Dzikie róże i kapryfolium kwitły w każdéj gęstwinie. Radosne brzęczenie owadów napełniało powietrze, kwiaty wydawały woń balsamiczną, drzewa kołysały się w blasku słonecznym, a słaby szum morza, jak muzyka, odzywał się zdaleka. Sybilla siadła i dumała nad swojém położeniem. Coś zmieniło się w Saint-Vincent, od owych dni, kiedy jéj dom ten wydał się tylko starym i nudnym. Smith był przyczyną téj zmiany. On wygnał ciotkę Glyn, on wyciągnął ojca na daleką podróż, on winien że pani Mush stała się tajemniczą i dziwną. Sybilla pewna była że i w obecnéj sprawie działa jego ręka. Smith sprawił opóźnienie w przybyciu stryja, z czego wynikło rozdraźnienie ojca i nagły wyjazd pani Mush.

— Ale zdaje się że mój nowy stryj popiera go — pomyślała Sybilla z niechęcią — będę więc i jego nienawidziła.

W takiém usposobieniu pożegnała się z panią Mush, która całując ją powiedziała z cicha, tonem ubolewania. „Biedne dziecko.“

— Co pani Mush mówi? ostro zapytał ojciec.

Sybilla, z oczami utkwionemi w oddalającą się karetę, powtórzyła mu słowa kuzyny.

— Niech pani Mush swoję litość ze sobą zabierze, rzekł pogardliwie — ty jéj nie potrzebujesz, Sybillo.

— Czuję się bardzo smutną—lękliwie powiedziała Sybilla, — gdybym choć drogą Blankę...

— Facecye — przerwał jéj ojciec, — twój stryj przyjedzie, a on wart więcéj niż pani Mush i panna Cains, wzięte razem.

Sybilla zarumieniła się z oburzenia i myślała sobie:

— Smith był przyczyną odjazdu ciotki Glyn, a mój nowy stryj wypędza panią Mush — wiem że go będę nienawidziła.

ROZDZIAŁ VI.

Jakkolwiek postanowiła nienawidzieć stryja, Sybilla wszelkiego dołożyła starania żeby mu było wygodnie. Raz jeszcze wezwała Denizę do zielonego pokoju i pod swojém okiem kazała jéj porządkować.

Deniza nigdy nie lubiła się spieszyć, a że tu w istocie mało było już do zrobienia, a może nic nawet, krzątała się więc jeszcze wolniéj, podczas gdy młoda jéj pani, nudząc się, napróżno od czasu do czasu powtarzała:

—Prędzéj, Denizo, prędzéj!

Ale powolność należała do stałych przymiotów Denizy.

Gdyby chciała mówić otwarcie, powiedziałaby: po co się spieszyć kiedy i tak się zrobi. — Na głos powiedziała tylko:

— Dość jeszcze czasu, proszę panny. — Pociąg przychodzi o szóstéj, a można liczyć na pewno, że pan ten dziś nie przyjedzie. Przecież nikt nie przyjeżdża w dzień naznaczony...

— Czy mój stryj przyjedzie czy nie, pokój musi być gotów.

Deniza przestała słać łóżko.

— Czy on stary? zapytała.

— Na cóż ci ta wiadomość?

— Bo jeżeli stary, to trzeba drugą położyć poduszkę; a jeżeli nie, to mu wystarczy jedna.

— Denizo, ja z tobą na śmierć się zanudzę. Dołóż poduszkę. Musi być stary. Każdy stryj jest stary.

— Nie wiedziałam o tém, proszę panny. Żona mojego brata ma stryja młodszego od niéj o dwa lata.

— Denizo! rzekła Sybilla, proszącym tonem.

— Słucham.

— Ściel łóżko.

— Ścielę, proszę panny.

— Gdzież tam, stoisz tylko i patrzysz na mnie.

— Panna ma takie białe ręce i takie delikatne palce...

Głosy z dołu przerwały odpowiedź zniecierpliwionéj tym komplementem Sybilli. Wyjrzała przez okno do ogrodu i zobaczyła swego ojca idącego pod sklepioną galeryą, osłoniętą kratkowaniem, z rospiętą na niém winną latoroślą, a za nim, z ciemnego tła zieleni, nagle wysuwającą się, na część oświeconą słońcem, postać obcego człowieka. Był to trzydziestoletni mężczyzna, wysoki i dobréj budowy. Piękny był nawet, mimo twardych, ciemno rudych włosów, gęstych brwi, ocieniających duże, głęboko osadzone oczy, a nadewszystko, mimo kwadratowego prawie podbródka i bladych, wydatnie narysowanych warg. Patrząc na niego przeczuwała Sybilla że to natura silna, zarówno pod względem umysłowym jak i fizycznym. Po chwili, nieznajomy, idąc obok Kennedego, podniósł głowę i spostrzegł Sybillę. Uśmiechnął się do jéj kwitnącéj twarzyczki, wyglądającéj z pomiędzy winnych liści, a gdy zwrócił do Kennedego wzrok pytający, Sybilla cofnęła się od okna i rzekła do Denizy:

— Pewna jestem że to mój stryj na dole. Połóż jednę tylko poduszkę, Denizo.

— Zatem młody?—wykrzyknęła Deniza, biegnąc ku oknu.

— Nie wyglądaj, — rzekła Sybilla, zamykając okno — spiesz się z uprzątaniem.

Deniza uczyniła zadość roskazowi. Po skończonéj czynności wyszły z pokoju obie—pani i sługa. Zamknąwszy drzwi Sybilla przez chwilę stała w niepewności, czy zejść, czy czekać na wezwanie. Głos ojca rostrzygnął tę wątpliwość.

— Sybillo, zejdź do nas.

Wszedłszy do ogrodu, ujrzała Sybilla ojca i stryja czekających na nią. Postąpiła kilka kroków, z pewną nieśmiałością.

— Cóż Sybillo, nie chcesz patrzeć na swego stryja? zapytał ojciec wesoło. Sybilla podniosła oczy. Kennedy objął ją w pół jedną ręką, a drugą podniósł w górę jéj kwitnącą twarz, tak, iż spotkała spojrzenie sinych, głęboko osadzonych, ale pełnyh blasku oczów stryja.

— Nie brzydka, powiedział ojciec.

Stryj skinął głową: — o, że nie to nie.

— A zręczna i dobra.

— Wierzę, rzekł grzeczny stryj.

— A i bogata będzie, Edwardzie.

Edward się uśmiechnął.

— Śpiewa jak skowronek, zwinna jak kotka, tańczy jak nimfa, wszystko umie, tylko czasem plecie bez zastanowienia.

Sybilla zrobiła obrażoną minkę, ale ojciec pogłaskał ją po twarzy i rzekł:

— Nie dąsaj się, moje dziecię; Edward odkryłby tę tajemnicę bardzo prędko.

— Pewna jestem, panie Kennedy, — zaczęła Sybilla.

Ojciec przerwał jéj mowę.

— Stryju Edwardzie, trzeba mówić — ja jestem Kennedy, a dwóch nas być nie może. A teraz rozmawiaj z nim rozsądnie, o ile możesz i baw go, bo ja odjeżdżam i dopiero na noc przybędę. Nie czekajcie mnie z obiadem.

Twarz Sybilli taki przestrach wyrażała, iż stryj rozśmiał się i rzekł:

— Nie trwoż się moje dziecię, ja będę cię bawił.

Głos jego był pełny, głęboki i uprzejmy, harmonizujący z jego wesołym, pełnym życia wzrokiem. Sybilla patrzyła na stryja z upodobaniem, a gdy Kennedy odchodząc rzekł: — Tylko jéj nie psuj Edwardzie — spojrzała śmiało w twarz stryja, jakby chcąc wybadać czy jest bardzo skłonnym do psucia jéj. Wzrok jego ku niéj spuszczony—pełen był dobroci. Wistocie twarz Sybilli była z rodzaju tych, które każdego zająć mogą, a nowy jéj stryj nie stanowił widać wyjątku pod tym względem. Sybilla sądziła że upatruje w jéj twarzy podobieństwo, o którém miss Glyn wspominała często, zapytała więc:

— Czy podobna jestem do matki?

— Nie widziałem jéj nigdy. Daleko stąd byłem wówczas gdy przyszłaś na świat.

— Czy stryj podróżował dużo?

— Dość dużo.

— W których stronach.

— We wszystkich po trochu.

— Czy stryj przybył pociągiem?

— Moje dziecię, widziałaś że wszedłem przez ogród, a dworzec kolei nie w tym jest kierunku.

Sybilla zmiarkowała że dość tych pytań i spoglądała na stryja z pewném powątpiewaniem. Rachowała na to wesołe, uprzejme oblicze, zdawało jéj się przez chwilę, że nowy jéj stryj będzie się łatwo skłaniał do jéj życzeń, ale przyglądając się baczniéj, spostrzegła pewien wyraz silnéj woli, uporczywości, który mocno ograniczał pierwsze jéj wrażenie.

Zapytała go się nieco lękliwie, czy życzy aby obiad był wcześnie, a odebrawszy odpowiedź twierdzącą, poszła wydać stosowne rozporządzenia. Zastanawiając się nad nową swoją znajomością, łatwo przyszła do wniosku, że podobała się stryjowi i postanowiła utrzymać go w tém usposobieniu. Gdy się spotkali przy stole, wzrok stryja świadczył, że wrażenie trwa ciągle. Wszystko w nim zdawało się mówić: ładna jesteś i lubię cię za to.

I Sybilli podobał się nowy jéj krewny. Był przystojny, dowcipny i wesoły. Miał spojrzenie otwarte, szczere, które pociągało niepokonanie, mimo iż czasem stawało się zuchwałe i przenikające. Prócz tego pełen był siły umysłowéj i fizycznéj, opanowywującéj Sybillę. Był towarzyski i starał się ją bawić.

— Wcale niepodobny do papy — myślała Sybilla. — i Nie tak piękny, ale dobry, kochany stryjaszek i lubię go bardzo.

Przy końcu obiadu, zwyczajem angielskim, wstała aby go samego zostawić przy winie, ale stryj Edward podbił jéj serce do reszty, zrzekłszy się wina dla jéj towarzystwa w ogrodzie. Przeszli kilka razy w jednę i drugą stronę, po żwirowéj alei, poczém wrócili do domu. Po jednéj stronie drzwi była duża kamienna ławka.

— Siądźmy, rzekł stryj Edward.

On siadł na jednym końcu, Sybilla na drugim, spoglądając na niego skromnie.

— Trzeba ci wiedzieć moja siostrzenico, rzekł chłodno — że na jakiś czas pozostanę w Saint-Vincent; a ponieważ jak we wszystkiém tak i w znajomości początek jest główną rzeczą, proszę cię, postępuj ze mną jak z rzeczywistym starym stryjem, który czasem się dąsa, czasem pieści, a czasem nawet gdérze, jak potrzeba.

— Każdy na mnie gderze — rzekła z zażaleniem Sybilla — nawet Blanka.

— Blanka? co to za Blanka?

— Blanka Cains, moja przyjaciołka, najlepsza, najszlachetniejsza, najdroższa istota — o, ona jest tak dobra! dodała z uczuciem.

Oczy jéj błyszczały, bo wpadła na swój ulubiony temat. Stryj Edward patrzał na nią i zdawał się bawić.

— Dobra jest? — rzekł, rospierając się na rogu ławki — to by mi się nie podobała.—Dobroć bywa ograniczonością.

— Ale nie taka dobroć jak jéj. Ma umysł bardzo rozwinięty.

— I taki zbytek niedobry w kobietach — bywają zwykle pełne kaprysów.

— Ale Blanka wcale nie kapryśna—gorąco broniła Sybilla—owszem, jéj temperament taki słodki!...

— Tak myślisz? byle tylko owa słodycz nie była przybrana...

— Zpewnością nie. Blanka ma twarz, serce i naturę anioła.

— Serce anioła? moja siostrzenico, cóż ty możesz wiedzieć o sercu anioła?

Uwaga była słuszna, i Sybilli niemiło było że powiedziała niedorzeczność.

— Nie wiem dla czego wszyscy są przeciw biednéj Blance, rzekła z oburzeniem. To samo było w szkole. Emma powiedziała że Blanka nosi przyprawne włosy — a ja pewna jestem że to nieprawda.

— Nie bądź tylko zbyt pewną, moja siostrzenico. Ja sądzę że przyprawne są jéj złote kędziory, angielskiego koloru, tak jak przyprawna dobroć i t. d.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIĄZANKA.

Szczęśliwsi od nas są obecnie robotnicy w polu!. Im „wiązanki“ z nażętych *garści* zboża łatwiéj robić przychodzi—zwłaszcza z tak wdzięcznego materyału, który później na chleb powszedni się zmienia. Gdybyż tak plennych i tak pożytecznych „garstek“ dostarczyły nam także powszednie dzieje umysłowego życia i społecznego ruchu Warszawy!

Chociaż, obecnie przynajmniéj, na brak ruchu i to świetnego nawet, sprawozdawcom tygodniowym narzekać nie wolno — pełno go wszędzie i gdyby nie deszcz który kroplami z chmur podniebnych studzi dość często te ziemskie do rozrywek i zabaw pochopy, miasto nasze możnaby poczytać za jedno z weselszych, zwłaszcza w takiéj jałowéj, kanikularnéj porze. Za to, co prawda, ruch umysłowy skrystalizował się nieco: poeci i poetki, (te ostatnie u nas w literaturze co raz wydatniejsze zdobywają stanowisko) zawiesili na pasterskich jaworach swoje liry, arfy i bardony—a prozaicy... w sążnistych peryodach elukubrują swoje rozemdlone na słońcu lub zmokłe na deszczu, okolicznościowe natchnienia.

Artyści (muzycy i malarze) także milczą uporni; wprawdzie, na wystawę sztuk pięknych, dostarczono w ostatnich czasach kilka obrazków, z których dwa nawet, t. j. „Grzybobranie“ Kostrzewskiego i „Gawędy przy ognisku“ Kossaka, mają niepospolitą artystyczną i charakterystyczną wartość chociaż w ocenieniu jéj stoją na przeszkodzie „Słodkie marzenia“ p. Machczyńskiego, po których, jak to zwykle po marzeniach tego rodzaju, jakaś goryczą w rzeczywistości osiada... w każdym razie jednak, tego skromnego assortimentu artystycznych towarów, za dowód żwawszego ruchu na téj drodze uważać nie można. W muzyce, także zupełna panuje cisza — uszy warszawian strudzone mnogimi koncertami a po części rozdarte i prelekcyami, trzeciego gatunku, odpoczywają w błogosławioném odrętwieniu, nadstawiając się jedynie na dźwięki orkiestry Bilsego, które już także, choćby w skutek samego spowszednienia, w codziennych koncertach, soporyficznie nieco działają, zwłaszcza na tę część słuchaczek, która nie po dźwięki a raczéj z wdziękami, na popis do armidowego ogrodu „Doliny“ przychodzi.

Lecz nie rozpaczajcie—czytelnicy! Uśpione na chwilę muzy domowe zbudzą się niebawem; wraz z ukończeniem sezonu wód, kąpieli i willegiatury, Warszawa otrzyma zwykły swój kontyngens z sfer zamożniejszych, a wraz z pierwszym podmuchem jesiennego wiatru, zaczną dąć także rozmaite instrumenta i odzywać się różnotonne głosy—bo w Warszawie, może zabraknąć czystéj wody wiślanéj, dobrze wypieczonego chleba, naturalnego nabiału — natchnień poetycznych, taktu w orkiestrach ogródkowych i... w postępowaniu towarzyskiém; może w niéj mięso dojść do cen, jakie były podczas oblężenia w Paryżu, a cnót, cytryn i kamiennych węgli, może tu zbraknąć zupełnię—lecz koncertów i amatorskich prelekcyj, zawsze mieć będziem pod dostatkiem!

Zauważaliście już może, iż dotąd, uniżony wasz sprawozdawca, w całym szeregu liter, wchodzących w skład dzisiejszéj „Wiązanki“, nie zamieścił żadnego świeżego faktu, ani też nie przystroił w nic żadnéj takiéj myśli promiennéj lub sympatycznéj, która, jak wielki los na loteryi, choćby klasycznéj, wynagradza całą massę przegranych numerów, i wszelkie skargi lektorów piorunem efektu tłumi.—Otóż, na całą ekskuzę to tylko powiedzieć wam mogę, że i reszta dzisiejszéj „Wiązanki“ będzie, powiększéj części, tylko *feljetonem*, w najczystszem znaczeniu francuskiego źródłosłowu, od którego pochodzi—to jest, że będzie liściem *(feuile)*, który miotany wietrzykiem po pustéj frazesów przestrzeni, o żaden ważniejszy przedmiot potrącić nie może, i tylko w przelocie niekiedy, zatrzyma się chwilkę na jakimś, szczęśliwym trafem napotkanym gzemsie — doprawdy, nie greckiego dłuta... Dopiero-ż to znęci się nad takim efemerycznéj fantazyi wyrobem, ścisły jak cement, a gromki jak piorun, Jowisz jakichś fantastycznych krytyk naprzykład! Doprawdy, aż mrowie ze strachu po piórze przechodzi... Lecz... że według utartego przysłowia „ciele pokorne dwie matki podsysa“, więc submitując się tak groźnemu kontrolerowi całego intellektualnego ruchu w Warszawie i za Warszawą nawet, zawczasu go upewniamy, że przy pierwszéj lepszej okazyi, w chwilach wolnych od... *dolce far niente*, „podniesiemy“ taką massę faktów (opisanych już w obydwóch kurjerach tutejszych), i na sprawy społeczne taki potężny, orli pogląd rzucimy, że z razów jakie zadamy ciężką maczugą dorywczego sądu, choćby na oślep wymierzonych, nie zostanie ani jednego listka ideału na pozytywnych, praktycznych i utilitarnych roślinach, nad któremi on czuwa, i że wytępim bez litości, wszystko co tylko nie posiada *rzeczywistéj* wartości, czego, choć za trzy grosze, ale gotówką zaraz od ręki, sprzedać nie można! Zresztą, szacowny nasz kolega (sauve le respect), może się ułagodzi wiadomością, że wkrótce na pole literackich zapasów wystąpi kilka świeżych ofiar... kilka nowych, młodych talentów pocznie się wyrabiać, które już, choćby za to samo tylko, że śmią myśleć i że śmią pisać cośkolwiek, kto wie czy nie zaidealnie, będzie można potężnie smagać, dotkliwym realizmu biczem!!

Panująca przez dwie całe prawie kwadry słota, do rozpaczy przywiodła przedsiębierców ogródkowych teatrów; boleść ich udzieliła się i całemu personelowi artystów tam grywających, gdyż w téj właśnie porze codzień prawie przypadał benefis któregoś lub któréjś, z tego tak licznego składu. Oczywiście, że dochody z takich zaflażonych benefisów, pomimo protekcyj wielbicieli i protektorów... dorodniejszych zwłaszcza talentów, okazały się nader szczupłe, a choć, gdzie niegdzie za to rzucono kilka bukietów i wieniec nawet podano, to wiadomo przecież, że i w zakulisowym szychowych złudzeń świecie, bławatki już dawną utraciły wartość, i że tam, jak gdzieindziéj, lada roślinka z inspektów „braci Jarockich“ pożądańszą jest od olbrzymiego bukietu, choćby nawet zwilżonego łzami i ogrzanego westchnieniami najsentymentalniejszych wielbicieli.

Trzeba-ż jednak koniecznie zamieścić jakąś wiązkę faktów lub nowin, choćby na zakończenie téj frazeologicznéj pogadanki...

A więc nowin.. „Królestwo za nowinę! wołamy, na wzór Ryszarda III, i wołamy naprożno—bo choćbyśmy wam opowiedzieli najświeższe, nawet przed godziną spełnione na bruku, w domach, teatrach, ogrodach, w głowach i sercach dzieje, to od chwili w któréj tę „Wiązankę“ piszemy (Piątek z rana) do momentu jéj wyjścia — upłynie dni kilka — a przez ten czas wszystkie owe, tak świeże nowiny, rozmiażdżone po kurjerach i gazetach, przedyskutowane i przeżewane nawet przez ogół publiczności,—już pleśń starości pokryje!—Choćbyśmy wreszcie nawet donieśli wam o przybyciu i publiczném pokazywaniu się olbrzymki „Fanni“ na Nowym świecie—to nowina ta, oprócz że już także rozgłoszona—tak jest gruba... że do wiązanki się nie zmieści... O powodzeniu minionéj, trzeciéj z rzędu loteryi fantowéj w ogrodzie saskim, o ławkach żelaznych w wielkiéj alei, ustawionych tak niedogodnie, dla dam zwłaszcza, z powodu zbyt wielkiéj w ustawieniu ich ku trawnikom pochyłości, o szkodach zrządzonych przez ostatną burzę; nawet o wysyłaniu z warszawskich ogrodów owoców do Petersburga i o spowodowanéj przez to ich drożyznie; wreszcie, o zamiarze założenia u nas rodzaju ogrodu zoologicznego, w którym zwierzęta wszelkiego rodzaju (zamiejscowe) hodować i pokazywać będą, i o jedwabniczéj współce i o nowo założonéj kuchni taniéj i o drożyznie a nieświeżości masła sprzedawanego w sklepach stowarzyszenia Merkury, nakoniec i o zamiarze pp: Kleczyńskiego i Wł. Górskiego, dania koncertu w Ciechocinku—o wszystkiém tém już *„Codzienny“* i *„Warszawski“* pisały lub napiszą za lada chwilę. Lecz uspokójcie się czytelnicy! Zaraz po przejściu upałów, skoro tylko pierwszy listek pożółknie na drzewach i na... wieńcach waszych nadziei... natychmiast rozpoczniemy pisać tę, tak luźną dotąd rubrykę, z pewnym już systematem i w potrzebie przystroim ją w tak poważne kwestye, że wam od czytania ich i wywołanych tą lekturą refleksyj, włosy posiwieją.

△

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Дозволено Цензурою. 17 (29) Іюля 1871 г.— Redaktor Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.